

Konrad Kudłacz

Bardzo blisko siebie...

Do Tarnowa zawitała w końcu wiosna. Śnieg sukcesywnie ustępuje żywej zieleni świeżej trawy. Topniejąc, odsłania czarny jeźor asfaltu i psie odchody na trawnikach. Słupek rtęci leniwie przekracza granice zera stopni, popędzany przez strumień wrzących promieni, rzuconych nań przez słońce. Osowiła młodzież niechętnie przekracza próg szkoły, bowiem w naszej strefie czasowej dochodzi właśnie ósma. Jestem tam i ja. To, co mnie wyróżnia spośród tłumu przekraczających ów próg, to -poza nowymi trampkami na nogach- przesadna, wręcz niestosowna dla chwili euforia. Sam nie wiem co mnie tak ekscytuje: czy wizja rozpoczynającego się za kilka godzin weekendu, czy może dzisiejsza wizyta Izraelskiej młodzieży.

W okresie II wojny światowej, ówczesny prezydent Rzeszy, kazał otruć cyklonem i spopielić każdego potomka Abrahama. Reżim ten, o ile nieludzki i zbrodniczy, daje dziś holońskiej młodzieży dobry powód do tego, by odwiedzać środkowy rejon Europy. Co roku duża grupa żydowskiej młodzieży przyjeżdża do Polski. Przemierzają tysiące kilometrów lądu, morza, przez które tym razem przeprawia ich Boeing, by dotrzeć do kraju ich dziadków. Przechadzkę po Polsce wieńczy wizyta u nas, w hetmańskim liceum. Jak co roku, tak i dziś przyjadą. Będą wśród nich ortodoksyjni Żydzi i ateści, mężczyźni i kobiety, piękni i brzydcy.

Z czasem moja euforia zdaje się ustępować senności połączonej z treścią. Senny jestem, bo w nocy bolała mnie głowa i nie mogłem spać, choć dookoła wszyscy już posnęli. Denerwuje się, ponieważ kazano mi poprowadzić prezentację; nic dziwnego, że akurat mnie, w końcu to sprawa międzynarodowa. Razem ze współprowadzącym kolegą naradzamy się, chcemy żeby nasza „improvizacja” została starannie przemyślana... Następnie przystępujemy do tego, co mnie udaje się najlepiej: do bezczynności; a w zasadzie - do bezczynnego czekania na gości. Ludzie wkoło mnie zastygają



w bezruchu, siedzą, stoją, nic nie mówią - czekają. Tylko czasem słycać szelest stóp, kogoś, kto przebiega właśnie przez korytarz.

Sam nie wiem, która jest już godzina, może dziesiąta, może południe. Do sali wchodzi nagle Żydzi. Cholera jasna! Wściekłem się, bo nikt nawet nie krzyknął, że już są. Się człowiek nawet nie uczesał, mentalnie nie przygotował. W zeszłym roku, nim weszli do sali, wszyscy zostali poinformowani, że już dotarli.

Wchodzi powoli, przyglądają się wszystkim i wszystkiemu, co ich oczy namierzą. Ujrzawszy krzesła siadają na nich. Patrzą teraz prosto przed siebie, na mnie, na kolegę współprowadzącego, na pedagogów swoich i naszych.

Wydaje mi się ten moment w tekściwie dobrym na dygresje : Izrael to bardzo ciepły kraj. Podczas gdy mnie z przegrzania poci się ciało, oni ubrani są tak grubo, że ledwo w drzwiach się mieszczą. Doprawdy, u przeciętnego Żyda jego wysokość równa się w przybliżeniu jego szerokości. Nosy mają czerwone jak wino, zębami dygoczą, jak telefon w trybie „wibruj ”, a na zewnątrz przecie całe dziesięć stopni.

Głos zabierają teraz dyrektorki szkół, naszej i ich, ażeby rozpocząć spotkanie w sposób należycie wzniosły. Jednakże kwintesencją ich pobytu w tej sali, sali nr 12, jest prezentacja, prowadzona przez wiecie już kogo. Nie wiem jak kolega, ja tam się wcale nie denerwuje - mam doświadczenie; ongi byli już u nas tacy, równie obcy i równie żydowscy. Owa dlań atrakcja przebiega w sposób niezakłócony, zgodnie z planem acz spontaniczna... Urzeczone naszym wdziękiem, lekkością naszego języka i jasnością naszych umysłów Izraelskie dziewczki krzyczą wniebogłosy na znak podziwu. Reszta publiki oddaje nam hołd uderzając dłonią o dłoń. Wszyscy teraz podzieleni zostajemy na grupy, rozchodzimy się do innych pomieszczeń. Co odważniejsi 'ciepło-krajowcy' zdejmują z dłoni rękawiczki, przyłapałem chyba nawet kogoś na ściąganiu czapki. Trzask-prask i jesteśmy rozdzieleni.

Aktywnie uczestniczę w zajęciach mojej grupy, grupy językowej. Naszym zadaniem jest wzajemne nauczanie się naszych języków ojczystych. I tak my uczymy ich polskiego, oni nas hebrajskiego. Jednak teoria często zawodzi w doświadczeniu, to i nie wszyscy robią, co robić powinni. Skaczą , krzyczą, jedzą, szamocą się jeden z drugim. Tymczasem mnie, jedna z przeurodziwych nauczyła mówić po swojemu, że ją kocham. W głowie rodzi mi się przebiegły plan ucieczki do niej, mówi, że może mnie ukryć w słoiku po ogórkach i tak przewieść w bagażu. Wtem do klasy wpada telewizja, a właściwie pan z kamerą. Ni to BBC ,ni Discovery, ale jakaś niechodliwa, lokalna

telewizja o nazwie dotąd mi nieznannej, której to widownia ogranicza się do biernych zawodowo emerytów-domatorów. Wybierają sobie niektórych, z którymi potem przeprowadzą wywiad. Sukcesywnie zaczyna panować chaos, ludzie wychodzą z sal, znów mieszamy się ze sobą, rozmawiamy na tematy wszelkie, od uprawy roli po politykę. A czas płynie nieubłaganie, wskazówki zegara zwiastują rychłe rozstanie.

Tradycją, wręcz swego rodzaju rutyną takich spotkań, stało się dla nas nawiedzanie pobliskiego pomnika, wmurowanego w grunt przez PRL, a mającego na celu upamiętnienie hitlerowskiej zbrodni na blisko czterdziestu tysiącach ludzi, których winą jedyną była -wroga rasistowskiej ideologii- żydowska rasa. Organizujemy delegację, z którą i ja odwiedzę ów monument. Działa na nas, jakby woła wszystkich nas do siebie, jak gdyby chciał nam coś przekazać. Tłumi w nas tym samym młodzieńczą niepoważność, śmiech zastępuje osowiałością, chichot tłumu przemienia w pieśń żałobną. Toteż próżno szukać na naszych twarzach wyrazu różnego od przedśmiertnego grymasu...

Przejechaliśmy właśnie kilka kilometrów busem, dotarłszy tym samym do wspomnianego pomnika. Wraz z naszym zbliżaniem się do niego, spośród drzew wyrosłych na ciałach ludzkich wyłania się mroczny jego majestat. Wbity w grób tysięcy istnień, które niegdyś miały swoje rodziny, domy, przyjaciół i plany, stoi na straży ich pamięci i ostrzega ludzkość na wypadek kolejnej jej klęski. Płacze i krzyczy lamentem tych, których wątłe ciała przemieniła w proch idea barbarzyńców, mieszając ich istnienie z leśną ściółką. Spotyka się teraz twarzą w twarz z tymi, którzy z owych prochów powstałi, których czas ochronił od zbrodniczej ręki kata ich narodu. "Nigdy więcej rozlewu krwi, koniec z przemocą ! " - krzyczy jeden z nich. Jego wypowiedź to słowa, których wypowiedzieć nie zdążyli dawno temu tu pogrzebani i których ich prochy wypowiedzieć nie mogą. Jednak ich niemy krzyk i głośny apel Żyda są dla mnie dużą nauką, bowiem cóż lepiej poświadczy o omyłce Hitlerowców niż same ich ofiary?

W atmosferze swoistej melancholii śpiewamy hymny, pogrążamy się w głębokiej refleksji. Ktoś odśpiewał słynną pieśń Cohen'a, ktoś wyrecytował wiersz. Jednak ową chwilę zadumy każe zakończyć rutyna dnia codziennego. Teraz wszyscy grzecznie wrócą do domów, umyją zęby i pójną spać, nikomu przy tym słowa nie pisnąwszy o ożywionym pomniku i historii przezeń opowiedzianej.

Kwiecień 2012